

Grzegorz Kasdepke: Literatura ma w sobie moc osvajania rzeczywistości

Nic się nie zmieniło od czasów, gdy dwaj bystrzy naukowcy o nazwisku Grimm jeździli od wioseczki do wioseczki, spisując ludowe opowieści. Świat nadal jest okrutny, tyle że zamiast złych czarownic, spotykamy, na przykład, złych panów prezesów. Nadal dzieci cierpią strach, poniżenie czy czują się samotne. Nadal nasze życie bywa dewastowane przez takie smoki jak ubóstwo czy choroby. O tym wszystkim należy umiejętnie opowiadać młodym czytelnikom — mówi Grzegorz Kasdepke w rozmowie z Natalią Alicją Szerszeń dla „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Kultura w krótkich spodenkach?

Natalia Alicja Szerszeń (Teologia Polityczna): Jest Pan autorem wielu książek dla dzieci, i to nie tylko fikcyjnych opowieści o przygodach młodych bohaterów. Wśród Pana książek jest też wiele pozycji, które można by określić mianem edukacyjnych, np. „Opowieści biblijne” czy „Zaskórniaki”. Jak Pana zdaniem powinna się kształtować w literaturze dziecięcej relacja między czystą przyjemnością lektury a jej dydaktycznymi walorami?

Grzegorz Kasdepke, pisarz, autor scenariuszy: W „Opowieściach biblijnych” jest tylko jeden mój tekst, to praca zbiorowa. Ale palicho, nie wchodźmy w szczegóły. Niektóre moje książki, rzeczywiście, bywają wykorzystywane przy prostowaniu krętych ścieżek wiedzy... — że sobie pozwolę na frazę rodem z Niziurskiego. Cóż, nic na to nie poradzę,

książka wypuszczona w świat zaczyna żyć swoim własnym życiem. Często jest to życie pomiędzy podręcznikami szkolnymi. Prawda jest jednak taka, że siadając do pisania mam zazwyczaj jeden cel: stworzyć atrakcyjne czytadło. Lubię czytać. Są lokomotywami czytelnictwa. Czasami wychodzi mi ledwo sapiąca ciuchcia, a czasami efektowne pendolino. Nie myślę jednak w pierwszym rzędzie o wartościach edukacyjnych moich książek. Myślę raczej o dzieciach, które chciałbym najzwyczajniej w świecie uzależnić od czytania. Mam ochotę być dealerem literatury. Podejrzana postać, proszę przyznać. Przyjemność stawiam ponad dydaktyczne walory. Na czytanie naprawdę mądrych książek przyjdzie czas później. Co nie oznacza, mam nadzieję, że piszę książki głupiutkie. Zawsze zdumiewa mnie, w jak fantastyczny sposób bywają wykorzystywane przez nauczycieli. Chylę czoła przed ich pomysłowością i zapałem.

Obcowanie z literaturą w pewien sposób jest uczeniem się kultury, w tym kultury artystycznej – na ile pisarz stający przed wyzwaniem napisania książki dla dzieci może traktować powstający tekst właśnie jako wysoko artystyczne dzieło literackie i stosować w nim strategie estetyczne takie, jak w literaturze „dorosłej”?

Szczęśliwie, jako smarkacz przedkładałem rozkosze ciała nad rozkoszami ducha – co w tamtych czasach nie oznaczało nic bardziej zdrożnego niż objadanie się i bieganie po podwórku. Książki, ku rozpaczy mojej rozczytanej mamy, budziły we mnie niechęć. Przełom nastąpił dopiero w drugiej, albo trzeciej klasie szkoły podstawowej, kiedy w moje ręce wpadły komiksy o Kleksie Szarloty Pawel. Gdy przeczytałem już wszystkie dostępne w szkolnej bibliotece historie w dymkach, okazało się, że polubiłem szelest papieru, przewracanie

kartek, szukanie strony, na której zakończyłem swoją czytelniczą podróż... Wbrew pozorom wciąż odpowiadam na zadane mi pytanie! Gdy polubiłem czytanie książek, było już za późno na lektury wczesnego dzieciństwa. Od razu rzuciłem się na Szklarskiego, Nienackiego, Londona i Bahdaja. Książki dla małych dzieci przeczytałem dopiero jako dwudziestoletni, odrobinę — przyznaję — egzaltowany młodzieniec, który marzy o karierze pisarza. Dzięki temu, że takie dzieła jak „Alicja w krainie czarów”, „Kubuś Puchatek” czy „Muminki” poznałem dość późno, zorientowałem się, że literatura dla dzieci może być literaturą przed duże „L”. Byłem podekscytowany. Młody pisarz zazwyczaj chce pisać, a nie zawsze ma o czym — bo niewiele jeszcze przeżył. Uznałem, że dopóki nie zdobędę niezbędnych doświadczeń, będę pisał bajki — bo pozwalają na zmyślenia. A że mężczyźni w mojej rodzinie mają problemy z dojrzewaniem, wciąż piszę dla dzieci.

Literatura roztacza przed oczami czytelnika pewien obraz świata. Jak wygląda to w przypadku literatury dla dzieci? Czy powinna pokazywać dzieciom dorosły świat i konfrontować je z trudną niekiedy codziennością, czy raczej pielęgnować ich dziecięce światy fantastyczne, w których rzeczywistość miesza się ze zmyśleniem?

Dzieci żyją dokładnie w tym samym świecie, co my, dorośli — nie ma więc powodu, żeby im tego świata nie opowiadać. Ba - bylibyśmy nieodpowiedzialnymi tchórzami, gdybyśmy tego nie robili! Literatura ma w sobie moc osvajania rzeczywistości. To dlatego właśnie w tradycyjnych baśniach ludowych jest tak wiele odprysków okrutnego świata. Baśnie impregnowały przed złem — uświadamiając słuchaczy, że zło istnieje. Ale dając też nadzieję na jego pokonanie. Nic się nie

zmieniło od czasów, gdy dwaj bystrzy naukowcy o nazwisku Grimm jeździli od wioseczki do wioseczki spisując ludowe opowieści. Świat nadal jest okrutny, tyle, że zamiast złych czarownic, spotykamy, na przykład, złych panów prezesów. Nadal dzieci cierpią strach, poniżenie czy czują się samotne. Nadal nasze życie bywa dewastowane przez takie smoki jak ubóstwo czy choroby. O tym wszystkim należy umiejętnie opowiadać młodym czytelnikom. Po pierwsze, żeby uświadomić niektórym z nich, że nie są jedynymi doświadczającymi smutków – a taka wiedza często przynosi ulgę. Po drugie, aby przygotowywać dzieci na zło, które ewentualnie może w nie uderzyć. A po trzecie... żeby nauczyć je obśmiewania problemów. Jestem pewny, że poczucie humoru stworzył Pan Bóg – abyśmy łatwiej radzili sobie z Jego niełatwym światem. Wykorzystujmy ten dar.

W jaki sposób pisać dla dzieci o pojęciach abstrakcyjnych i zjawiskach trudno uchwytnych, takich jak uczucia, emocje, język, kultura, sztuka?

Dowcipnie, pomysłowo, zwięźle?

Jakie są, Pana zdaniem, najważniejsze cele, które powinna spełniać literatura dla dzieci teraz – w świecie sprzeczności, nieraz nawet walk światopoglądowych, które sięgają również dziecięcego świata i już tam próbują zdobywać „rząd dusz”?

Literatura dla dzieci powinna rozbudzać wyobraźnię, pobudzać marzenia, poszerzać horyzonty, budować ciekawość świata, a nade wszystko uczyć empatii.

Literatura dziecięca powinna być tak pisana, żeby dzieci mogły obcować z nią same, czy powinna angażować też rodziców? Czy można ją traktować jako punkt wyjścia dla wzmacniania więzi rodzinnych?

Nigdy nie ukrywałem, że pisząc dla dzieci, często myślę o ich zmęczonych rodzicach — o tych wszystkich, którzy wieczorem będą musieli zebrać resztki sił, aby poczytać swojemu milusińskiemu książkę... Lubię, gdy dowiaduję się od dorosłych, że czytają moje książki — a najbardziej mnie cieszy, gdy słyszę od nich, że dziecko dawno już zasnęło, a oni wciąż czytali, czytali i czytali... To miłe. Nie zapominajmy także, że w naszych zabieganych czasach dobrze jest trzymać się kilku budujących silne relacje rytuałów: wspólne posiłki bez gapienia się w telewizor czy wspólne wieczorne czytanie. Tych kilkanaście minut, gdy przed zaśnięciem czytamy półgłosem naszemu dziecku, jest bezcennych — budują bliskość, poczucie intymności i wspólnoty. To takie proste, a wciąż w domach 10 milionów Polaków nie ma ani jednej książki. Dane przytaczam za Biblioteką Narodową.

Jan Zamoyski w akcie fundacyjnym Akademii Zamojskiej zapisał chętnie powtarzane po dziś dzień słowa: „Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie”. Czy literatura dla dzieci może dawać pierwsze impulsy do kształtowania się tożsamości narodowej i społecznej młodych obywateli?

Może, ale uważajmy, że nie wyszedł z tego jakiś okropny moralitet. Dbajmy o to, żeby dzieci po prostu czytały, nawet pozornie niemądre lektury - potem sięgną po mądrzejsze. Nie bójmy się więc

„Koszmarnego Karolka” czy „Dziennika Cwaniaczka”. Czytelnicy to i tak ta mądrzejsza część społeczeństwa. Bardziej boję się o dzieci, które nie czytają nic a nic — gdy wyrosną, będzie można wcisnąć każdą światopoglądową bzdurę.

Rozmawiała Natalia Alicja Szerszeń